

Rozdział IV

Maria odłożyła album z rodzinnymi zdjęciami. Ostatnie — pod choinką — Jadzia trzymała w ręce. Oglądała je w samotności. Ojciec stał z boku na tle ściany, trzymając na rękach małego Ernesta. Miał na sobie popolity niemiecki mundur wojskowy, leżący niedbale — taki sam mundur, jaki widywała na wielu zdjęciach we wszystkich domach rodzinnej wsi. Ernest wskazywał rączką na czubek choinki, obwieszonej szklanymi kulami i srebrzystymi łańcuchami. Przed choinką mama i babka siedziały na krzesłach, wyprężone w sztucznej powadze. Dziadek stał z drugiej strony, patrząc gdzieś w dal z miną jakby obojętną.

Z sąsiedniego pokoju ozwał się kaszel babki. Jadzia zerwała się z kanapy, jeszcze raz wzrokiem objęła zdjęcie i wsunęła je do albumu. Przyjechała przecież po to, by opiekować się babką, a minęło już około czterech godzin, jak jej nie widziała. Co prawda w czasie rozmowy z mamą słyszała z pokoiku odgłosy rozmowy i dowiedziała się od mamy, że przyszła stara Kryszka, ale przez ten czas babka mogła mieć jakieś potrzeby. Toteż, otwórzszy drzwi, zapytała od progu:

— Może babcia czegoś potrzebuje?

— Niczego mi nie trzeba, córuchno.

Rzeczywiście babka wyglądała zdrowo i wesoło, półleżąc na swym łóżku. Stara, mała Maria Krysikowa

siedziała obok na krześle i witała Jadzię uśmiechem. Jej twarz ledwie była widoczna spomiędzy fałd ogromnej brązowej chusty, otulającej nie tylko całą głowę, ale i szyję, ramiona i górną część ciała, spadając głęboko na plecy i końcami dotykając kolan.

Jadzia zatrwożyła się w pierwszej chwili, że jeśli babka taka zdrowa, to trzeba będzie wracać do szkoły i rzucić te swoje historyczne roztrząsania, które ledwie co rozpoczęła. Dostrzegła nagle i wniknęła w sprawy, naświetlające po nowemu cały sens życia tu jej i najbliższych ludzi. Ten wątek pragnęła tropić dalej, nie wolno było go utracić. Wiedziała już teraz dobrze — to nie wynikało już tylko z polecenia pana Wolińskiego — że musi poznać Nową Lipowinę, by ją zrozumieć i, jako jej częśćka, odnaleźć swoje właściwe miejsce. W ciągu najbliższych dwóch, trzech dni nadrobić musi to, czego nie mogła zrozumieć przez całe lata minionego dzieciństwa.

— Tak, moja droga — usłyszała.

Stare kobiety rozmawiały dalej. Dopiero teraz przypomniała sobie, że przecież wciąż jeszcze jej los rozstrzyga się między powrotem do Bartoszcyc, a pozostaniem tutaj. Może dowie się czegoś od babki?

— Babka taka już zdrowa, pewnie będę musiała wracać do szkoły? — zapytała podchwytliwie.

— Zostań ze dwa dni — odpowiedziała Kryszka, poklepując pierzynę na łóżku babki. — Wiesz, jak to z gróską: dzisiaj dobrze, a jutro znowu gorzej. Starość nie radość.

— Póki mi lepiej — dodała babka — to możesz po obiedzie wyjść sobie na wieś. A jutro zobaczymy. Zresztą skąd ja mogę wiedzieć, czy ty w ogóle pojedziesz jeszcze do tych Bartoszcyc?

Rozmowa urwała się. Wiadomo było, że babka nie będzie miała na jej pobyt w szkole żadnego wpływu.

Powinna wykorzystać jednak okazję do dowiedzenia się czegoś o tamtych sprawach. Wspomniała jeszcze raz rodzinne zdjęcia i opowiadanie mamy. Miała tyle wątpliwości, tyle pytań. Rzuciła szybko jedno z nich, by nie tracić czasu:

— Babciu, a gdy tato wyjechał wtedy po Gwiazdce, kiedy ostatni raz był na urlopie, to już żadna wiadomość o nim nie przyszła?

Babka poprawiła się na łóżku, chrząknęła i odkaszlnęła.

— Nie, córuchno.

— Tato już nie pisał?

— Kto go tam wie. Może i pisał. Ale przewalała się wtedy ta zawierucha. Nic nie przyszło.

— I nie można było dowiedzieć się, gdzie zginął? Gdzie pochowany?

— Nic nie przyszło. Szukali my. Kto go tam chował. Uświerkli gdzie i tyle.

— Nie przyszła żadna wiadomość z wojska?

— Nie, dziecko. Dużo ludzi tak poginęło.

— A może żyje?

Babka schmurzyła się. Krysikowa spojrzała jakby zgorszona, ale na szczęście zaraz poruszyła się na krześle i powiedziała suchym, stłamszonym głosem, wydobywającym się spomiędzy fałd chusty:

— Pamiętam go jeszcze, jak był małym chłopcem. Takie to było wesołe, myśleli my, że będzie z niego dobry gospodarz. Ledwo się urodził, pamiętacie, Piotrowska? położyli przed nim kieliszek, różaniec, książkę i osełkę. Złapał osełkę i zaczął nią machać w powietrzu, jakby chciał cały świat zawojować. Był z niego prawdziwie robotny chłop, ino za mało się nażył.

— To tato urodził się w Nowej Lipowinie?

— Jak i my wszyscy — wyjaśniła babka.

— I babcia też?

— Toć.

— I pani Kryszka?

— Ano, w swojej drewnianej chałupie.

— A tato w którym domu?

— Nie ma już tego domu — westchnęła babka. — Jak w trzydziestym roku u Hinzmanów wybuchł pożar i zabierał chałupę za chałupą, to i nasza poszła z dymem.

— Takie to były chałupy jak i moja, ta, co stoi — objaśniła Kryszka. — Wszystkie drewniane i pod słomą. Lato to było na dobiek, pamiętam jak dziś: w wigilię Jana Chrzciciela, w sam dzień świętej Wandy. Pogoda, upał niemiłosierny, wszystko powysychane. To tak dzieciśka w zabawie podpaliły. Ojce były na polu. Nie było wtedy asfaltu, bo asfalt to dopiero Hitler później położył, więc zanim polną drogą ta Feuerwehra przyjechała, było i po wszystkim. Chodzili ludzie jak struci. Ale prędko się odbudowało, bo gazety trąbiły o Lipowinie na cały świat i radio wołało, więc komitet założyli, Hamburg przysyłał przyodziewek, meble i narzędzia, a bank dawał pożyczki. To byli i tacy, co podpálili swoje, żeby ino dostać ubezpieczenie i pomoc. Namawiali i mnie, alem wołała żyć po staremu na swojej chudobie. Najgorzej to przez to pan Pukowski ucierpiał.

— Jaki pan Pukowski?

— Nauczyciel polski. Ten, co to napisany na szkole na tablicy.

Jadzia przypomniła sobie wmurowaną przed kilku laty tablicę z nazwiskami polskich nauczycieli. Było tam i nazwisko Edmunda Pukowskiego.

— Cóż on z tym miał wspólnego?

— Widzisz, kto chciał w niemieckim banku dostać pomoc, ten nie mógł posyłać dzieci do polskiej szkoły.

Te zbóje jedną ręką dawały, a drugą wyrywały serce z człowieka.

Rozmowa ucichła znowu i w ciężkim milczeniu sły-chać było tykanie ściennego zegara z sąsiedniego po-koju. Powracały ciągle te same sprawy. Historia cho-dziła za tymi kobietami jak szelest sukien. Jadzia wsłuchiwała się w ten szelest, wpatrywała się w po-orane zmarszczkami twarze i wczuwała się w prawdę o swojej wsi. Historia przeniknęła teraz i jej młodość, zespoliła się z jej życiem, z jej myślami o przyszłości. Ta przyszłość wydawała się jej niesłuchanie trudna.

— Takie to nasze życie — westchnęła babka.

— Przeżyło się, przeżyło przez te osiemdziesiąt lat — dodała Krysikowa, westchnęła również i po chwili milczenia ciągnęła dalej: — Wychowałam w tej drewnianej chałupie dziesięć dzieciaków, jedno tylko zmarło, jeszcze małe. Wszystko przewędrowało do Westfolów. Bieda ich tam wypędzała. Pamiętam do-brze pana Pukowskiego. W mojej izbie uczył młodych śpiewać. Przychodzili w niedziele i śpiewali polskie śpiewki. Było u nas we wsi polskie towarzystwo mło-dzieży, a i ja należałam do Związku Polaków. Czasem, jak położę się w tej mojej izbie, to zdaje mi się, że słyszę tamte piosnki i chciałabym, żeby wróciły tamte lata.

— Dlaczego, Krysiczka? — spytała Jadzia trwoż-nie. Tęsknota za tamtymi latami wydawała się jej tęsknotą za niewolą. — Przecież to były czasy niewoli.

— Tak, córuchno. Bieda była i niewola. Ale inny był wtedy duch w narodzie. Psuł się po prawdzie ten naród, Hitler go do reszty na złe wy kierował. A po wojnie znów ciągnęli ludzie na Zachód, tak jak i przed wojną. Wtedy jednak trzymali się Polski, nawet w Westfolach, a dziś wypierają się jej. Gdyby nie ta nasza polska szkoła, zmarnowaliby się wszyscy. Ta

szkoła do dzisiaj jeszcze żyje w ludziach. Ci, co do niej chodzili, trzymają się.

— Naprawdę? To polska szkoła tyle znaczyła?

— Widzisz, twojej matce ciężko, a jednak nie wyjeżdża. Pamięta do dziś. Bo my, starzy, to co innego. Ja uczyłam się po niemiecku, ale mnie w domu po polsku uczyli. To były inne czasy. Ja i przed laty, jak mnie matka do Westfolów za mąż wydała, to nie wytrzymałam dłużej niż trzy roky. Nie mogłam tam żyć. Tak i teraz nie pojechałabym, choćby mi worki złota kładli.

— Prawda — rzekła babka. — Chciałabym też umrzeć tutaj i legnąć w Butrynach. Niewiele nam i tego życia zostało, Krysiczka.

Zaśmiały się obie starczym, obojętnym śmiechem.

— Prawda ci. Przez całe życie modliłam się do Matki Gietrzwałdzkiej, by mi tu legnąć pozwoliła, a jeszcze dziś niejeden wzdycha za tym Zachodem. To, co ta polska szkoła zrobiła, to rozmaite zło zmarnowało.

— Jakie zło? — spytała Jadzia.

— Dużo by o tym rozprawiać. Opowie ci mama przy okazji, młodsza jest, to i lepiej pamięta.

— Ale, prawda — wtrąciła Krysikowa. — Widziałam ja Helmuta, jakim tu szła. Stał przed domem i gapił się w okno. Może na ciebie czekał? Słyszałam, że dopytywał się o ciebie. Toć mój Pawełek i Bernard wiedzą takie rzeczy. Jak to młodzi.

Jadzia zarumieniła się. Zapytała nieśmiało:

— Co ma Helmut do tych spraw?

Wstała z krzesła i niby to odeszła w kąt pokoiku, ale z ukosa zerkała ku wychodzącemu na drogę oknu. Nie było nikogo widać. Ulica była cicha, pusta i szara po minionym deszczu.

— Co ma Helmut do tych spraw? — spytała jeszcze raz.

— A ma, córuchno, ma.

Powróciła do staruszek zainteresowana i niespokojna.

Krysikowa poprawiła chustkę na głowie. Widocznie było jej zbyt ciepło w tych zwałach sukna, bo odchyliła je z policzków aż po uszy.

— Widzisz, to było tak. Helmut stracił w wojnę ojca i matkę.

— Wiem o tym.

— To czego się dziwisz?

— Bo mówiła pani o wyjazdach.

— Ano, widzisz, Helmut miał dwie siostry: Margaretę i Ernę. To były takie, co to im wszystko jedno. Obie postarały się o wyjazd i chciały go zabrać ze sobą do Westdeutschland.

— Czyżby nie chodziły do polskiej szkoły przed wojną?

— Nie, moje dziecko. Ale Helmut chodził do polskiej szkoły, teraz, po wojnie, razem z tobą. I on się uparł.

— Pewnie nie chodził wtedy jeszcze razem ze mną, ja byłam o rok niżej i potem dogoniłam go, bo siedział dwa lata w tej samej klasie.

— A widzisz. To przez to nie wiesz wszystkiego dokładnie. Jemu nauka szła słabo, bo w domu mówili po niemiecku. Ale widzisz, uparł się. Powiedział, że go w szkole uczą na Polaka. Został przy ciotkach.

Teraz już Jadzia nie mogła dalej ani słuchać, ani rozmawiać. Słyszała kiedyś w szkole o walce o polskość, ale nauczyciele mówili ogólnikami. Dlaczego nie opowiadali o bliskich, lipowińskich ludziach, których codziennie spotyka się we wsi? Tamci szkolni bojownicy o polskość wydawali się jakimiś nadludzkimi bohaterami.

rami. Nawet sołtys Kuhn urósł w jej oczach do miary bohatera. A przecież to bohaterstwo musiało być jakąś codzienną, ludzką rzeczą, a bohaterzy ludźmi z krwi i kości, jedzącymi chleb, a może nawet pijącymi wódkę? Jest przecież bohaterstwo w tych starych kobietach, z którymi siedzi razem w małym, mrocznym pokoiku swego rodzinnego domu.

Ale Helmut! Więc Helmut wyrzekł się wyjazdu w ciekawe, nieznanne strony, o których mówiło się zwykle jako o kraju dobrobytu i bogactwa. Czyż nie jest jednym z bohaterów? Sprawiała to szkoła — ich wspólna szkoła — jej szkoła, do której chodziła przez siedem lat. I ona sama może być nauczycielką w podobnej szkole, może wychować bohaterów! To było niesłychane! Zakrawało na legendę, a ona dziś z nim szła, on dotykał jej ramienia i szeptał jej do ucha. Oburzyła się na niego — na człowieka, który uczynił tak wielkie postanowienie! Ośmieliła się go pouczać. Słyszała już kiedyś — było to dawno — o tej jego decyzji, ale było to wtedy dla niej czymś zwykłym, jak decyzja pozostania w domu. Nie rozmawiali zresztą o tym nigdy.

Skąd jednak dziś taka zmiana w jego postawie? Dlaczego powiedział: „my jednak w Polsce żyć nie możemy”?

Staruszki ocknęły się z zamyślenia. Krysikowa powiedziała ni stąd, ni zowąd:

— Myślisz o tym Helmucie. To dobrze. Lepiej trzymaj się tego chłopaka niż jakichś tam w tym liceum. Wyjdź za naszego.

Roześmiała się, było to takie przedwczesne: myśleć o jej małżeństwie. Żeby skierować rozmowę na inny temat, zagadała:

— Dlaczego ludzie wyjeżdżali? Dlaczego niektórzy jeszcze dziś chcą wyjeżdżać?

Babka poklepywała pierzynę na nogach. Krysikowa westchnęła. Widać pytanie było trudne. Zegar tykał znów głośno. Wreszcie babka powiedziała szeptem:

— Dużo by gadać...

Krysikowa pomełła szczękami, aż z trudem wykrztusiła:

— Nie ta Polska przyszła, córuchno.

Jadzia poruszyła się gwałtownie. Nie ta? Zachowała jednak milczenie. Czego ci starzy ludzie chcą? Była im przedtem bieda i niewola, same przyznają. Czego oczekiwali?

Starczy głos mówił dalej:

— Serce ciągnie do rodzinnych stron. Lecieliby oni z Niemiec na skrzydłach z powrotem na Warmię. Pogadaj ty, córuchno, z Hiemanem. Niech ci opowie o swoich córkach, o sobie, to wszystko zrozumiesz. Powie ci o twoim Helmucie.

A więc jeszcze jeden bohater.

Hieman mieszkał w tym samym domu, co Wieczorkowie — na początku wsi — ale nie widziała go dzisiaj. Będzie musiała pójść do niego zaraz po obiedzie. Lubiała tego staruszka, a i on odnosił się do niej serdecznie. Nie rozmawiali jednak nigdy o tych dawnych sprawach. Co może jej powiedzieć o Helmucie?

Gdy staruszki zagadały się o swoich sprawach, wymknęła się do kuchni. Mama właśnie rozstawiała talerze na stole. Powiedziała:

— Dobrze, że przyszedłeś. Możesz już grósce zanieść rosół.

Zakrzętnęła się żywo. Potem niecierpliwie jadła obiad. Milczeli wszyscy troje, Ernest kołysał się na krześle, jedząc. Wreszcie mama odezwała się niespodzianie:

— Boże, co ja się nadręcę. Ten Kubacki zawrócił

mi w głowie. Ja wiem, to porządny chłop, zrobił dla Polski więcej niż my wszyscy. Ale z tą szkołą chyba nie ma racji. I nikt mi nie doradzi. Babka sama nie wie, Ernest też nie chce nic powiedzieć.

Jadzi było to wszystko w tej chwili zupełnie obojętne. Być może, że powinna zostać nauczycielką i wychowywać tutejsze dzieci, ale z drugiej strony — Helmut. Chciałaby pozostać z nim, pomóc mu w trudnych chwilach, zrozumieć go, pokochać. Może te staruszki rzeczywiście mają rację, że powinna wyjść za niego?

Idąc drogą przez wieś, roześmiała się głośno na tę myśl. Gdyby nawet, to z czego by żyli?

*

Dzieci opuszczały szkołę — jak zwykle — biegiem. Zarzucone na plecy tornistry grzechotały piórnikiem, bose nogi tupwały głucho w zbity piasek drogi. Pełno było śmiechu i krzyku. Po czterech godzinach siedzenia w twardych ławkach miło było rozprostować kości.

Helmut wybiegł na drogę razem z innymi dziećmi, które skończyły naukę w czwartej klasie. Ale zaraz zatrzymał się przy płocie. Na lekcji geografii uczyli się dziś o Warszawie i nauczyciel opowiadał o tym dużym mieście, że jest ono stolicą Polski. To wprawdzie nic nowego, ale wywołało wątpliwości, które teraz powróciły. Bo przecież Helmut ma jakąś swoją własną drogę do tego miasta i obchodzi go ono osobiście — tak, jak chyba nikogo więcej.

Każą mu siostry jechać do tamtego obcego kraju, w którym ludzie mówią inaczej, niż mówi się między kolegami, niż mówi nauczyciel w szkole. W domu co prawda siostry rozmawiają często po niemiecku i Helmut rozumie je, ale powiedzieć potrafi niewiele. Tak skołowany tymi dwoma językami, z trudnością włada

jednym i drugim. Jak porozumiewałby się tam daleko z tymi obcymi ludźmi? Jak będzie żył poza Nową Lipowiną? Jak wytrzyma z daleka od jeziora Gim, od lasków i pól, od Butryn, a nawet od tej pięknej Warszawy, do której tak łatwo pojechać pociągiem z Olsztyna? Co będzie robił w tym obcym kraju? Po co pójdzie do obcojęzycznej szkoły, w której nauka będzie jeszcze trudniejsza niż w lipowińskiej?

Stojąc pod płotem, usłyszał szkolny dzwonek, wzywający na lekcję dzieci z drugiej zmiany. Droga już opustoszała. Słońce świeciło mdłym światłem poprzez mglistą zasłonę, wiszącą na niebie, budynek szkolny rzucał wiotki, niewyraźny cień. Szosą przemknęło jakieś auto. Spojrzał w tamtą stronę. Auta nie było już widać, za to zobaczył na drodze starego Hiemana, idącego z wiadrami. Chłop szedł powoli, ciężkim krokiem, a wiadra kołysały się, wisząc u jego rąk.

Że też nie przyszło mu na myśl, by u tego człowieka szukać rady! Bo nikt we wsi poza nim nie mógł mu jej udzielić. Siostry zwyczajnie, bez podawania przyczyn, kazały mu jechać ze sobą, a ciotki też zwyczajnie powtarzały ze starczym uporem:

— Jo nie pojedę i szlus. Tutej chcę zembrzeć.

Helmut umierać nie chciał i te argumenty nie przekonywały go. Chciał żyć. Ale rówieśnicy także nie umieli niczego powiedzieć na temat wyjazdów do Niemiec. Nauczyciela zaś nie chciał pytać. Ten obcy człowiek niczego nie rozumiał z tych spraw, a dla dzieci był nieprzychylny i ciągle się na nie gniewał.

Hieman był starym przyjacielem rodziny. Helmut co prawda nie pamiętał czasów, gdy przyjaźnili się z nim rodzice, ale ciotki nieraz głośno wspominały te czasy i wynikało z ich rozmów, że przyjaźń ta była wielka. Żywiły dla starego głęboki szacunek.

Było też powszechnie wiadome, że Hieman jest prze-

ciwny wyjazd do Niemiec. On musiał wiedzieć — dlaczego.

Nie wahając się, Helmut przebiegł ulicę truchtem i po stopniach wszedł do sieni, z której na lewo prowadziły drzwi do mieszkania Wieczorków, a na prawo do Hiemanów. Zapukał i wszedł do wnętrza.

Stara Hiemanka podawała właśnie mężowi drugie śniadanie. On siedział przy stole na taborecie i pił kawę z dużego kubka. Zobaczywszy chłopca, zapytał:

— Co powiesz, Helmut?

O odpowiedź nie było łatwo. Ale stary jej widocznie nie oczekiwał, bo zabrał się spokojnie do jedzenia i dopiero po dłuższej chwili jakby uzupełnił swoje pytanie — a trafił tym razem w samo sedno, prosto w myśli Helmuta.

— To za trzy dni jedziecie?

Teraz już mógł mówić, więc pochwycił okazję i, ciągle jeszcze stojąc przy drzwiach, powiedział głośno:

— Po co pojedę?

Hieman gwałtownie odwrócił głowę. Przestał żuć chleb i milczał, tylko patrzył mu w oczy. Wreszcie odezwał się:

— Rychtyk, po co? Po co byś tam pojechał?

Helmut pojął, że oni obaj z tym starym człowiekiem rozumieją się. Nie umiał jednak tego wzajemnego zrozumienia przełożyć na słowa. Przeszł powązaniem z nogi na nogę i wiedział tylko, że nie powinien jechać z siostrami. Musiał jednak wykorzystać okazję, żeby zrozumieć chociaż postępowanie sióstr. Zapytał więc:

— A czemu Margareta i Erna wyjeżdżają?

— Bo głupie — odpalił Hieman krótko. A po chwili dodał: — Ludzie zawsze szukają czegoś, sami nie wiedzą, czego.

Ostatnie słowa były jasne. Tak chyba z ludźmi bywa. Dlatego Helmut odrzekł:

— To ja nie pojedę.

Był zupełnie pewien, że tak musi postąpić. Poczł się wzmochniony tą pewnością.

Stary tymczasem wrócił do jedzenia. Nie przestając poruszać szczękami, mamrotał niewyraźnie:

— A co tu będziesz robił?

— Zostanę u ciotek — odparł bez wahania.

— Prawda — potwierdził Hieman.

Helmut już nie widział potrzeby, by dłużej prowadzić rozmowę. Te krótkie zdania, wymienione ze starym, wystarczyły mu jako zewnętrzny wyraz wielkich, niepojętych treści, które się w nim kotłowały. Podjął decyzję — i już. Nie zmieni jej. Ciotkom przyda się do pomocy, one go chętnie zatrzymają przy sobie.

W następnej chwili było już słychać tylko tupot jego nóg w sieni.

Hieman skończył właśnie jedzenie. Odstawił kubek po kawie, spojrział na chudą, milczącą żonę i powiedział głośno, by mogła go usłyszeć:

— Ten mały Helmut niegłupi chłopak.

Żona westchnęła tylko.

Wyjazdy leżały kamieniem w sercu Hiemana. Tyle ludzi poszło już w czterdziestym piątym! Obok rzeczywistych Niemców, jak Schielitze czy Prassy, którzy tu istotnie nie mieli czego szukać — wyjechały wtedy takie prawdziwie polskie rodziny, jak Nowocienie i Białojany. Ostali się przez tyle lat przy polskości, tak bardzo zasłużyli się w walce z germanizacją, tyle sił i odwagi włożyli w organizację i rozwój polskiej szkoły, a w chwili ucieczki Niemców uciekli razem z nimi na Zachód. Jak to rozumieć? Przecież nie zdążyli wtedy jeszcze nawet zaznać tej nowej Polski, co tu przyszła — a już zawczasu ją opuścili.

Może nawet mniej trzeba dzisiaj dziwić się takim Polakom, którzy wyjechali później. Nowa ojczyzna,

która do nich przyszła, ucieleśniła się w nierozumnych niekiedy urzędnikach, nie znających tutejszych spraw. Dużo krzywdy przyszło na naród. Ale teraz już idzie ku lepszemu. Wiele się zmieniło.

Hieman chodził po wsi, odwiedzał sąsiadów, toczył z nimi długie rozmowy. Opuszczali tę biedną piaszczystą wieś w nadziei, że na Zachodzie znajdą lepszy i łatwiejszy chleb, że niemieckie państwo wypłaci im renty za służbę w niemieckiej armii, których tu nie mogli otrzymać.

Tę piaszczystą biedę opuszczano już od dziesiątków lat. Wędrowniki do Westfalii zabierały stąd ludzi, kochających swój kraj. Opuszczali go z bólem, w poszukiwaniu chleba. Przychodziły od nich listy, w których obok opisów dobrego bytu lkała tęsknota. Niejeden przeklął westfalski chleb i wracał na rodzinne piaski.

Teraz chleba szukać nie potrzeba tak daleko. Można dorobić w lesie, można pracować w Olsztynie, w Butrynach.

Ale teraz ludzie nie wracają. Na skropionym łzami papierze nie zawsze nawet ważą się napisać cieplejsze słowo; ograniczają się do suchych komunikatów o swoich posadach, mieszkaniach, telewizorach niekiedy, rzadziej samochodach. Niemiecka władza niechętnie słucha ich polskiej mowy, obco brzmiącej na tle szemrania Renu; złym okiem patrzy na kontakty z niewiernymi, służącymi nowej Polsce. Są i tacy, co uwierzyli w Wirtschaftswunder i służą niewygasłej idei odwetu.

Hieman rozumiał to wszystko i każde spotkanie z szukającymi się do wyjazdu bolało go. Ale rozmowy z nimi kusiły, nie mógł się im oprzeć.

Tak i teraz poszedłby do sióstr Helmuta — prędko jednak uwolnił się od tej pokusy. Margareta i Erna wyjadą tak czy owak, a Helmut na pewno pozostanie.

Skierował się więc prosto do Rogali, od którego za tanie pieniądze kupił krowę. Miał mu jeszcze dać ostatni tysiąc za nią. Obiecali dodać mu do tego szafkę, której stąd nie zabiorą, a która jemu się przyda. W spalonym domu za szosą przepadł mu przed jedenastu laty cały dobytek. A wyjeżdżający wyprzedawali teraz, co się dało, na co znalazł się kupiec. Resztę darowywali najbliższym przyjaciołom.

Józef i Maria Rogalowie mieli wyjechać pojutrze z dwiema córkami i synem. Podłogi zawałone były rupieciami, szafy stały otworem. Rogalowa krzątała się pomiędzy tym wszystkim z troską, dzieci bawiły się niepotrzebnymi rzeczami, a Józef właśnie dźwigał ze strychu stary ul.

— I jak tam? — zapytał Hieman.

— No, pojutrze — odpowiedział Rogala stawiając ciężar na podłodze. — Chcesz to? — dodał od niechcienia.

— Co mi po tym? — odpowiedział, sam nie wiedząc, czy dlatego, że mu ul rzeczywiście był niepotrzebny, czy też po to, by zademonstrować jakoś swoją niechęć do wędrowni. Krowa to krowa, kupić można, a ta szafka należała do interesu. Ale niczego więcej nie przyjmie. Nie chce takich pamiątek i już.

Po mieszkaniu plątał się jakiś obcy człowiek. Kiedy Hieman zabierał się do wyjścia, wyszedł razem z nim. Niespodziewanie powiedział:

— Jedźcie do córek, będziecie razem.

Te słowa zatrzymały Hiemana w miejscu. Stali na drodze i patrzyli na siebie. Komu, jak komu, ale jemu udzielać takich rad?

— Pan wie, co się dzieje z moimi córkami?

— Nie wiem, słyszałem tylko, że są w NRF.

— Ale ja wiem. Wiem aż za dobrze. Oni ich nie chcą puścić.

— Nie chcą? Was znowu stąd puszczać nie chcą.

— Co pan tam wiel

Nadbiegł ten mały Helmut i stanął obok nich. Można temu człowiekowi opowiedzieć dzieje córek, posłucha ten mały przy okazji, to mu się przyda. Hieman sam zresztą dawno nie wspominał tych przeżyć, unikał tych wspomnień, bronił się przed nimi. W tej chwili kusily go.

— Już dwunasty rok ich nie ma. Nazywały się Maria i Helena, chodziły przed wojną do naszej polskiej szkoły. Zawsze je widzę jeszcze takie małe, szkolne, jak rano wybiegały z domu w drewniakach na bosych nogach, z książkami i czarnymi tabliczkami do pisania. (Pan takich nie widział? Zwisaly z nich czerwone, dyndające gąbki.) Po południu siadały przy stole i na swych tabliczkach wodziły rysikami. Maria pomagała sobie przy tym językiem. Uczyły się pilnie, nauczyciel miał z nich pociechę. Umiały na pamięć polskie wierszyki. Nie przemówiły po niemiecku ani słowa, choćby nie wiadomo kto tego od nich żądał. Takie były twarde. Raz żandarm gonił Helenkę przez całą wieś, ale uciekała przed nim jak strzyga, tylko mu pokazywała język. Próbował ją później przyłapać w domu albo na podwórzu, ale nigdy mu się to nie udało.

Helmut patrzył na mówiącego jak zaczarowany — to mu się musiało podobać. Hieman spojrział na obcego — ziewał tylko. Zapytał prędko:

— A pan co tu właściwie robi?

Obcy podniósł głowę. Był to człowiek w sile wieku, o okrągłej twarzy. Odpowiedział dopiero po namyśle:

— Tak przyjechałem. Słyszałem, że tu ludzie wyjeżdżają, pomyślałem, że upatrzę sobie jaką gospodarę.

Hieman wstał. Ręce trzęsły mu się ze wzburzenia. Krzyknął:

— Precz! Żebym pana więcej nie widział w tej wsi! Tamten nie powiedział nic. Zaczął wycofywać się tyłem, aż dopiero po kilkunastu krokach odwrócił się i szybko poszedł w kierunku szosy.

Wtedy Hieman spojrział na chłopca. Stał obok niego i trzymał go za rękę. Patrzyli za odchodzącym tak długo, aż ten znikł im z oczu.

— Bydlę — powiedział Hieman. — Hiena.

— Niech pan mi opowie o Marii i Helenie.

Hieman usiadł na ławce. Chciało mu się mówić. Już dawno nikomu nie opowiadał o córkach, nie lubił tego. A teraz potrzebna mu była ta spowiedź. Ten mały był w dodatku dobrym powiernikiem.

Posadził go obok siebie. Mówił dalej, jak gdyby nic się nie stało:

— A jednak w trzydziestym szóstym musiałem odebrać córki ze szkoły. Wstydzę się tego do dziś. Niemcy chcieli mi odebrać rentę. Niemiecki nauczyciel powiedział mi to otwarcie. Gdy jednego rana dziewczuszki nie poszły do polskiej szkoły — wszyscyśmy płakali. Popłakałem się i ja, nie wytrzymałem babskich pisków i lamentów. Przychodził polski nauczyciel, pan Grus, ale co to wszystko pomogło. Nie można było inaczej, dzieci musiały jeść. Nikt prawie nie wyżył z lipowińskiego piasku, jak mógł wyżyć inwalida?

Zamilkł. Patrzyli obaj w piasek na drodze. Nagle Helmut zapytał:

— Ale jak to się stało, że wyjechały? Miał pan o tym opowiedzieć.

Hieman zaczerpnął powietrza.

— Nie wyjechały. To była pomyłka, straszliwa pomyłka. Moje córki podpadły. Miały niemieckie nazwisko. W zamęcie wojennych transportów znalazły się na Uralu. Listy były krótkie. Pracowały dobrze i wiodło im się nieźle. Tęskniły jednak, starały się

o powrót. Słyszałem później, że przez teren Polski wzięto je jako Niemki do Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Sam nie wiem, jak to się stało, że znalazły się w Niemczech Zachodnich. Potem zaczęły przychodzić listy z Bochum. Prosiły stale o umożliwienie powrotu do domu. Uganiały bezskutecznie po urzędach. Wszyscy obiecywali, ale nikt dotąd pomóc nie umiał czy nie chciał. Może teraz sprawy ułożą się lepiej? Jak nie, to chyba zemrą tam z żalu. Pracują w szpitalu, są pielęgniarkami, nasiąkają niemieckim życiem, niemiecką mową. Czy wrosną w obcy świat, zapomną tę polską szkołę, co je uczyniła Polkami? Na razie nie wychodzą za mąż, bo nie pójdą za Niemców. Nie urodzą mi wnuków, gadających po niemiecku.

Hieman wstał z ławki. Dosyć było tego opowiadania. Rozdzierało tylko stare rany.

Helmut chwycił go za rękę i starał się go pocieszyć:

— A może jeszcze się uda?

— Może się uda. Staram się w tutejszych urzędach. Nie wiem, czy poskutkuje. Dziś, jutro muszę dostać list od córek.

— Powie mi pan, co napisały?

Popatrzał na chłopca. Miał zmartwioną minę. Ruszyli razem przed siebie. Pożegnali się przed schodkami domu. Hieman wrócił do mieszkania. Nie wychodził już więcej tego dnia, czuł się słaby, nie chciał widzieć tych przygotowań do wyjazdów.

Wieczorem nie mógł zasnąć. Został sam ze starą żoną i tylko na najmłodszego Franka patrzył jak na symbol dawnego życia i zarazem nadzieję przyszłości. Najstarszy, Hubert, osiadł w Butrynach i widują się z nim w niedzielę przed kościołem. Paweł w powiecie nidzickim troszczy się o własny żywot i odzywa się rzadko, a jeszcze rzadziej pokazuje. Bracia zapomnieli o dalekich siostrach i myślą już inaczej, o swoim

innym życiu, o innej przyszłości. Może myślą lepiej, rozsądniej?

Tylko starzy rodzice zawisli, rozdarci na kanwie czasu, pomiędzy przeszłością a przyszłością. Terazniejszość boli. Pragnienia przycichają, przysychają marnienia.

Po trudnej, niedospanej nocy Jakub Hieman zwłókł się z łóżka, zakrzętał się około krów, koni, świń. Żona mu niedomagala. Franek wybierał się w pole. Dzień szedł ciężko i opornie.

W południe przyszedł listonosz. Stary niecierpliwie rozdarł kopertę, na której widniał stempel pocztowy Bochum. Nie było w liście nic poza wołaniem o pomoc. Władze Niemieckiej Republiki Federalnej kategorycznie odmówiły zezwolenia na powrót do Polski. Tylko z kraju może przyść ratunek.

List kończył się pytaniami o Nową Lipowinę, o gospodarstwo, o zdrowie rodziców. Te pytania kłuły beznadziejną, bolesną miłością. Nie dawały mu spokoju przez resztę dnia.

Wyszedł z domu i zaczął obchodzić tych wszystkich, o których wiedział, że składali wnioski o wyjazd. Podtykał im pod oczy list od córek, ale nie rozumieli go, nie chcieli rozumieć.

W domu runął na łóżko. Żona wiedziała, co czuje mąż. Podala mu kolację, ale odsunął jedzenie niecierpliwym gestem.

Nie mógł zasnąć. Dopiero nad ranem zapadł w niepokojny półsen. Przyśniła mu się Nowa Lipowina, zupełnie wyludniona. Domy stały puste, z pootwieranymi drzwiami, ogrody zarośnięte chwastami, a z drzew spadały dojrzałe, ciężkie owoce, dudniąc głucho o ziemię. A on chodził znów od domu do domu, daremnie poszukując żywego człowieka. Dopiero za szosą — w budynku Nowocienia — tam, gdzie niegdyś była

przez jakiś czas polska szkoła, a teraz znajduje się spółdzielnia — usłyszał chór dziecięcych głosów, powtarzających słowa nauczyciela: jakieś ogólne słowa bez konkretnej treści — słowa symbole. Wtedy nagle rozjarzyło się nad całą wsią ogromne słońce. Pomyślał: nie na darmo ta cała robota Pukowskiego, Setnego, Grusa i innych. Przyjdą znów jego córki — takie małe jak w tamtych czasach — i pobiegną z czarnymi tabliczkami do tej szkoły.

Gdy zbudził się, było już późno. Zrozumiał całą beznadziejność sennych marzeń. Zjadł prędko podane przez żonę śniadanie. Franek oznajmił krótko:

— Świnie już dostały, krowy wydoilem.

Machnął ręką na te sprawy.

Gdy wyszedł przed dom, zobaczył z ganku ciężarowy samochód, stojący przed zagrodą Rogali. Wóz był już załadowany, ale Rogala niósł jeszcze drewniany kufer.

Hieman zszedł po schodkach na drogę i stanął na jej środku — w piaszczystych koleinach. Wtedy, siląc wzrok, dojrzał dalej drugi samochód, do którego Erna i Margareta niosły jakiś wielki i ciężki, trudny do rozpoznania przedmiot. Przypomniały mu się znów córki. Ale odrzucił to wspomnienie. Będą i te płakały. I zaraz przywidziało mu się, że obie kobiety niosą swoje życie, zamknięte w ciężkiej trumnie.

Spojrzał znowu w tamtą stronę. Od tego drugiego samochodu oderwała się nagle mała postać ludzka i szybkim truchtem biegła przed siebie. Dosięła linii opłotków, a potem zbliżała się, coraz to wyraźniejsza.

Rozpoznał chłopca i zaczął mu iść naprzeciw. Może potrzebuje wsparcia w ostatecznej chwili.

Chciało mu się biec, by spotkać się z nim jak najprędzej, ale opanował się: szedł statecznym, choć spiesznym krokiem.

Helmut stanął przed nim bezradnie, dysząc tylko. Spojrzał mu na chwilę w oczy i zaraz odwrócił się w stronę załadowanych samochodów. Nie przemówili ani słowa i razem patrzyli w tamtą stronę.

Domy stały w słońcu, ostatnie liście błyszczały na drzewach, z kominów ulatywały smugi dymu. Ten widok zaczął zamazywać się, skrzyć iskrami i mglić zarazem. Stary poczuł łzy w oczach, a potem na policzkach.

— Choćbyśmy ino my obaj... — powiedział i nie dokończył.